Do niniejszego n-ru dołącza się bezpłatny dodatek „BŁYSKÓW" nr. 12

Cena 60 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DZIESIĘCIODNIOWIEC

ROK 7 WARSZAWA — 1934 — 10 PAŹDZIERNIKA NUMER 34

REDAGUJE KOMITET

Pamięci Franciszka Ferrera

(w 25-tą rocznicę śmierci)

Dwadzieścia pięć lat minęło od chwili, gdy Franciszek Ferrer, twórca nowoczesnej szkoły w Barcelonie, zginął w twierdzy Montjuich od morderczych kul klerykalnej reakcji. Stracenie Ferrera — to z zimną krwią uplanowany mord, którego nie zdoła usprawiedliwić tchórzowska komedja sądu wojennego. Reakcja, która w Hiszpanji stała się pod wodzą kleru szczególnie okrutną, prześladowała tego męża z wyjątkowo fanatyczną nienawiścią. Ślubowała mu śmierć już oddawna, albowiem odważył się podkopać jej władzę od fundamentów i osiągnął takie powodzenie, jakiego nikt przedtem nie zdobył.

Już w r. 1906 mniemali jezuici, iż godzina Ferrera wybiła. W związku z zamachem Morrala na Alfonsa XIII w dn. 31 maja, w całej reakcyjnej prasie rozpoczęła się dzika naganka przeciwko Nowoczesnej Szkole i jej założycielom. Naganka przeistoczyła się poprostu w wściekłą hecę, gdy uwięziono Ferrera, zamknięto jego szkoły, a majątek skonfiskowano na rzecz państwa. Cała klerykalna sfora wyła, czując krew znienawidzonego męża. Początkowo próbowano postawić jego rzekomych spólników przed sąd wojenny, lecz w ostatniej chwili plan ten musiano zarzucić wskutek potężnych akcyj

protestacyjnych, mających miejsce we wszystkich krajach romańskich. Przeszło rok znosił Ferrer męki więzienne, lecz wreszcie musiano go uniewinnić. Prokurator generalny, Bezerra del Torro, który nie przebierał w środkach, aby tylko poprowadzić znienawidzonego męża pod gilotynę, oświadczył z nietajoną nienawiścią: „Nie posiadam żadnych dowodów spółudziału F. w zamachu, lecz jestem moralnie przekonany o jego winie".

Od owego dnia Ferrer znajdował się stale pod grozą śmierci. Różne jego wynurzenia z tego czasu, wskazują wyraźnie, że zdawał sobie jasno sprawę z swej sytuacji. Jego nieprzejednani wrogowie wyczekiwali tylko odpowiedniej okazji. I okazja ta się nadarzyła, gdy wybuchło powstanie w Barcelonie w dniu 29 lipca 1909 r. Był to żywiołowy protest mas ludowych przeciwko awanturze wojennej w Maroku, gdzie rząd hiszpański złożył ofiarę z najlepszych synów Hiszpanji w imię interesów grupy baronów śpiżowych. Dzięki wytężeniu wszystkich sił, udało się monarchji opanować sytuację, jednakże zmuszona była zakończyć wojnę i wycofać swe wojska z Maroka.

W Katalonji ogłoszono stan oblężenia i sądy wojenne rozpoczęły swe krwawe dzieło. I oto cała prasa reakcyjna z zastanawiającą zgodnością rzuca nagle oskarżenie na Ferrera, jako na organizatora powstania. Władze wojskowe natychmiast zareagowały na to z powietrza wzięte twierdzenie. Zamknęły wolne szkoły, wszystkie wydawnictwa „Escuela Moderna" poleciły spalić, a nauczycieli i kierowników przedsiębiorstwa, między innemi żonę Ferrera, Solidaridad Villafranca, wtrąciły do więzienia. Gdy wieść o tem doszła Ferrera, który ulegając błaganiom żony i przyjaciół ukrył się kilka dni przedtem w bezpiecznem miejscu, natychmiast opuścił swą kryjówkę, zamierzając oddać się dobrowolnie w ręce prokuratora. Po drodze do Barcelony został poznany i zaaresztowany. Było to 31 sierpnia 1909 roku. Zaraz po jego uwięzieniu kler barceloński wysłał petycję do prezydenta ministrów Maury, w której wzywa rząd, aby za akty gwałtu w Barcelonie uczynił odpowiedzialnym „założyciela szkoły bez boga". Maura odpowiedział 7 września, jak następuje: „Śpieszę Panom zakomunikować, iż rząd zamierza działać po myśli Panów i zajmie stanowisko przez Panów oczekiwane".

Te nieocenione słowa starego reakcjonisty świadczą wyraźnie, iż wyrok na Ferrera już był zapadł, zanim jeszcze zebrał się na naradę sąd wojenny. W ciągu miesiąca trzymano Ferrera w ścisłem odosobnieniu, aby uniemożliwić mu wszelki kontakt z światem zewnętrznym. Obrońca jego, kapitan Galceran, dopiero 24 godziny przed procesem miał możność zapoznania się z aktem oskarżenia, zawierającym przeszło 600 stron. Odmówiono również jego żądaniu zawezwania świadków, którzy mogli wykazać bezsprzecznie niewinność Ferrera.

10 października sąd wojenny ogłosił wyrok skazujący Ferrera na śmierć. W nocy z 11 na 12 wprowadzono skazanego do celi skazańczej. Wszystkie usiłowania księży, aby „ratować jego duszę“, natrafiły na jego stanowczą odmowę. 13 października o godz. 8 m. 45 rano przywitał śmierć słowami: „Celujcie dobrze, moje dzieci. Nie jest to waszą winą. Umieram niewinnie. Niech żyje szkoła nowoczesna“.

Dlaczegóż musiał mąż ten zginąć z rąk morderczych w pełni sił? [1]) Dlaczego skupiła się na nim zażarta nienawiść wszystkich potęg ciemnoty? Gdyby istotnie był on tylko zwykłym mieszczańskim wolnomyślicielem, jak go zwykli przedstawiać wszyscy, a nawet socjaliści, to nawet w klasycznym kraju inkwizycji nigdy nie przywiązanoby do niego tak wielkiej wagi. Ale Ferrer nie zadowalał się wyłącznie walką z kościołem i t. zw. wiarą objawioną. Był on anarchistą, apostołem rewolucji socjalnej, wypowiadającym wojnę wszelkim systemom wyzysku, w jakiejkolwiek formie państwowej. Wiedział, że państwo, pomimo wszystkich płaszczyków konstytucyjnych, zawsze pozostaje zorganizowaną przemocą klas posiadających, ucieleśnieniem wojskowej, prawnej, ustawodawczej i wykonawczej władzy tych klas, służącem do utrzymania szerokich mas pracujących w jarzmie niewolnictwa najemnego.

Ferrer przejrzał ten system społecznego rabunku i niewoli, dla którego niema żadnej świętości, jeżeli chodzi o interesy panujących. I wówczas, gdy tyle mówiono o „prawie do pracy“, o „prawie kobiety“ albo o „prawie człowieka‘ — Ferrer pobudził swych współczesnych do pamiętania również o prawie, które winno być najświętszem dla człowieka — o prawie dziecka.

W czasie długich lat wygnania w Paryżu, zarabiając na swe utrzymanie jako nauczyciel języków, odbywa się w nim poważny proces wewnętrzny — z republikanina staje się anarchistą. Wówczas dojrzewa w nim idea wykucia nowej broni w walce o wyzwolenie społeczne — idea stworzenia wolnych szkół dla wychowania młodzieży. I gdy dzięki wyjątkowemu przypadkowi staje się posiadaczem większego majątku, nie zwleka dłużej i w sierpniu 1901 r. zakłada w Barcelonie t. zw. Escuela Moderna.

Ferrer pojął całą wewnętrzną próżność i bezwartowość obecnego systemu wychowawczego. Wiedział, że szkoła w żadnym razie nie dąży do zapoznania młodzieży z państwem wiedzy i sztuki, do rozpalenia młodych serc wyższemi ideałami społecznemi i wychowania jednostek, wyzwolonych od wszelkich przesądów. Nie, nie to jest celem dzisiejszej szkoły. Ulegając systemowi państwowemu, szkoła obecna stała się

[1]) Franciszek Ferrer ur. 10 stycznia 1859 r. w małej wiosce pod Barceloną jako syn drobnego rolnika, b. religijnego. Sam był początkowo b. gorliwym katolikiem, dopóki nie zetknął się z kościołem. Red.

instytucją znieprawiającą ducha ludzkiego, miejscem moralnych tortur, zmierzających do złamania charakteru dziecka. Nie wychowanie, lecz tresura jest cechą obecnej szkoły. Z jej pomocą państwo wychowuje sobie lojalnych obywateli i uległych niewolników wyzysku kapitalistycznego. Powiedzenie Saint-Just'a, iż zadaniem ustawodawcy jest pozbawić człowieka jego własnego mózgu i nauczyć go myśleć kategorjami państwowemi — jest również hasłem przewodniem obecnego systemu szkolnego. Obecna szkoła dąży do ujednostajnienia myśli i uczucia, do ujęcia duszy dziecięcej w pewien szablon, do zabicia wszelkiej inicjatywy osobistej, bez której wszakże niemożliwym jest jakikolwiekbądź postęp.

Szanowny mieszczuch, stale jednem okiem zerkający w stronę policji i gotowy przysięgać, gdy chodzić będzie o nieomylność jakiejś zwierzchności, ten bezduszny typ, którego powszedniej duszyczki nie rozpromieni żaden żar wewnętrzny, który ulegle zgina się przed wszelką tyranją — oto najdoskonalszy produkt naszego t. zw. systemu wychowawczego.

Ferrer nie należał do tych, którzy chcą zreformować szkołę od wewnątrz, którzy widzą w t. zw. przymusowem nauczaniu i jednolitej szkole państwowej swój najwyższy ideał. Pragnął on rozwoju szkoły poza sferą wpływów państwa i przeciwko niemu. „Nauczanie — powiada on — powinno się opierać na wciąż postępującym rozwoju dziecka i winno usunąć wszystkie atawistyczne reakcyjne instynkty, jak: religję, nienawiść rasową, przesądy klasowe, pragnienia wojny i odwetu — które są dla dziecka obciążeniem i niweczą wszelką samodzielną próbę zrealizowania lepszej przyszłości dla ludzi. Metoda wychowawcza szkoły nowoczesnej nie uznaje żadnych dogmatów, ani określonych na zawsze zwyczajów, albowiem one usiłują wtłoczyć myśl w ramki, będące wytworem tylko przejściowych warunków społecznych. My rozszerzamy tylko wyniki, potwierdzone przez fakty, teorje, uznane przez rozum, i prawdy, poparte przez niezbite dowody. Celem naszego wychowania jest to, aby myśl ludzka stała się narzędziem ich woli. Chcemy, aby prawda naukowa świeciła swem własnem światłem, a myśl każdego przetwarzając się w czyn, przynosiła szczęście całej ludzkości, nie zaś niesprawiedliwe przywileje jednym, a cierpienia drugim".

W tym sensie prowadzono nowoczesną szkołę; do osiągnięcia tego celu służyły liczne podręczniki, które Ferrer wespół z innymi wydał dla swoich szkół i które są najważniejszym wyczynem, dokonanym na polu wolnego wychowania. Od samego początku usunięto wszelki przymus w stosunku do dzieci. Nauczyciel był przyjacielem dziecka, a często i jego uczniem. Zadaniem nauczyciela było studjowanie poszczególnych rysów charakteru dziecka i zastosowanie do nich odpowiednich środków i dróg, aby nauczanie uczynić jaknajbardziej owocnem. Teorja i praktyka szły ze sobą w parze w nauczaniu. Każdy wykład naukowy popierano de-

monstracjami doświadczalnemi, w których dzieci pod kierownictwem nauczyciela brały bezpośredni udział. Często odwiedzano fabryki, kopalnie, centrale i t. d., aby wyjaśnić dzieciom techniczne zależności wytwórczości społecznej i wzbogacić ich praktyczną wiedzę. Całkowicie usunięto martwą formułę, nauczanie poglądowe było podstawą nauczania. Historję rozwoju ludzkiego przedstawiano uczniom „Escuela Moderna“ w zupełnie innem świetle od tego, jak to się czyni prawie zawsze obecnie. Nie karmiono dzieci martwemi datami sławnych wojen oraz dawnych i spółczesnych dynastyj; zapoznawano je natomiast z poszczególnemi fazami rozwoju kulturalnego, ze sprężynami bytu społecznego i w ten sposób budzono w nich zrozumienie dla wielkiego i spólnego działania wszystkich narodów w kierunku zdobycia wolności i sprawiedliwości społecznej.

Pomimo olbrzymich trudności, jakie Ferrer miał do przezwyciężenia przy zakładaniu pierwszej szkoły w Barcelonie, osiągnął olbrzymie powodzenie. Na początku szkoła liczyła 12 dziewcząt i 18 chłopców, ale już po upływie dwóch lat istniało 57 szkół w Katalonji i pozostałej Hiszpanji. Na krótko przed wybuchem wojny liczba szkół wzrosła do 150. Szkoły organizowały przeważnie zw. zawodowe wespół z grupami anarchistycznemi i stow. wolnomyślicielskiemi, zwracając się następnie o pomoc do kierownictwa szkół w Barcelonie. Stamtąd otrzymywano podręczniki i wykładowców oraz wszelkiego rodzaju pomoc techniczną i doradczą. Później szkoły te stworzyły zrzeszenie federacyjne, którego organem było wydawane przez Ferrera pismo „La Escuela Moderna“. Tam, gdzie nie było jeszcze odpowiedniego pola dla założenia szkoły, przygotowywano je, rozpowszechniając odpowiednią literaturę dla młodzieży i systematycznie uświadamiając postępowych rodziców.

Ferrer próbował zainteresować swojem dziełem również i wolnościowe elementy innych krajów. W tym celu założył „Ligę racjonalnego wychowania młodzieży“ i wydawał pismo w języku francuskim początkowo w Paryżu, a następnie w Brukseli. W krajach romańskich próby jego odbiły się żywem echem. Wszędzie zaczął się rozwijać ruch, który jednak wskutek wybuchu nieszczęsnej wojny całkowicie począł zamierać.

Obecnie, po dwudziestu pięciu latach od chwili zamordowania Ferrera, jego głęboka myśl jest nam jeszcze bardziej bliska i bardziej jeszcze domaga się realizacji. I dla nas zachowały całą swą aktualność słowa wielkiego wychowawcy, rewolucjonisty i anarchisty: „Chcemy stworzyć ludzi, którzy będą zdolni wciąż się rozwijać, zdolni tworzyć warunki, w których żyją i wciąż je odradzać, zdolni sami się odradzać; chcemy ludzi, których najlepszą siłą jest niezależność duchowa, którzy zawsze gotowi są do przyjęcia Lepszego, którzy doznają uczucia szczęścia z tryumfu nowych idej i dążą do całkowitego, wszechstronnego życia“.

Rudolf Rocker (tłumaczył St. St.)

Anatol France

Charakterystyka jego podobizny z okazji dziesięciolecia śmierci

„Już od szeregu lat jestem socjalistą i z dniem każdym staję się coraz bardziej socjalistą. Jestem socjalistą, ponieważ socjalizm jest sprawiedliwością. Jestem socjalistą, ponieważ socjalizm jest prawdą. Socjalizm będzie równie nieuniknionem następstwem systemu pracy najemnej, jak system ten nastąpił był po epoce niewoli“.

Tak wypowiedział się France jeszcze przed wojną, łagodnie uśmiechnięty, przepojony wielką dobrocią, jak przystało na wielkiego przyjaciela ludzkości.

Anatol France był szermierzem wolnej myśli, bojownikiem socjalizmu, potem komunizmu — i wielkim pisarzem, wychowanym na starych tradycjach kultury francuskiej. Mistrzami jego byli tacy, jak Montaigne, Racine, Wolter, Diderot; przedewszystkiem Renan, dla którego uwielbienie jego nie miało granic.

Zgórą pół wieku był przedstawicielem nowoczesnego klasycyzmu we Francji i wielkim miłośnikiem kultury grecko-łacińskiej. Nikt bodaj tak nie zrozumiał i nie odczuł jej wspaniałości i piękności, jak właśnie France. Malował piórem mistrza kulturę rzymską, jej naukę i sztukę. Jasno i dobitnie opisywał zaciekłych fanatyków i sekciarzy hałaśliwych i nieokrzesanych.

Niejednokrotnie porównywano France'a z Wolterem, starszym od niego o półtora wieku. Wolter był złośliwy, ostry, bezlitosny, a France przy całej swej ironji był łagodnie dobrotliwy i pogodny.

Dużo też mówiono o żydowskim pochodzeniu France'a. Niema wtem ani źdźbła prawdy. Nie miał on ani kropli krwi żydowskiej. A to jedno wiadomo, że „wielkie sympatje“ do żydów, jak i do całej ludzkości, postawiły go w szeregach lewicy rewolucyjnej. „Ależ to żydzi!“ — „To nic nie szkodzi. Nawet wśród duchowieństwa katolickiego są żydzi“, — pisze France w swej powieści „Pierścień z ametystem“.

France, jeden z najlepszych prozaików francuskich, wytworny i subtelny artysta i esteta, był przedewszystkiem wielkim miłośnikiem starych książek. „Nie mam książek nowych. Nie trzymam nawet tych, które dostaję. Wysyłam je jednemu przyjacielowi na prowincji. Co mi mówią moi współcześni, wiem sam bardzo dobrze. Więcej uczę się od Petronjusza, niż od Mendèsa“. Pewnemu zaś krytykowi, który, pisząc o nim studjum, przyszedł zasięgnąć u niego informacji, pokazał France swoje stare książki: „Oto moje źródła. Znajdzie pan wśród nich samych tylko wielkich i rozkosznych pisarzy, którzy mówili dobrą francuszczyzną, to znaczy myśleli dobrze“.

I tak wśród tych starych książek, w domku swym niedaleko lasku Bulońskiego, tuż obok Paryża, zdobywał France przez całe swe życie zadziwiającą, a tak przemiłą erudycję.

Anatol France (odziedziczony po ojcu pseudonim, pod którym kryje sie rodzinne nazwisko Thibault) urodził się w r. 1844 w Paryżu, jako syn właściciela antykwarni księgarskiej. Dzieciństwo spędził w przedsiębiorstwie ojca, pośród mnóstwa książek, dzieł sztuki i antyków, gdzie z ciekawością przysłuchiwał się rozmowom bibljofilów, artystów i uczonych. Właśnie w Paryżu, pośród niesłychanie bogatego dorobku kulturalnego, pośród ludzi wielkiej wiedzy, miłośników literatury i sztuki, mógł rozwinąć się talent France'a. I tylko we Francji mógł pisarz krytykujący i ośmieszający kler katolicki, ironizujący z tradycji swej ojczyzny burżuazyjnej—dojść do najwyższej godności literackiej, stać się jedną z uznanych oficjalnie znakomitości, członkiem Akademji Francuskiej.

Wśród tych zaszczytów miał i to szczęście, iż był materjalnie niezależny. Posada w bibljotece Senatu i spadek po ojcu dawały mu utrzymanie, mógł śmiało rozporządzać sobą, kształcić się i podpisywać odezwy komunistyczne.

Właściwie France wypłynął na szeroką arenę światowej sławy dość późno, nie dlatego, by jego utworom działa się była jakaś krzywda, ale poprostu dlatego, że książek jego długo nie było na półkach księgarskich. Od r. 1868 pisuje artykuły dziennikarskie i różne studja i przedmowy do licznych wydawnictw klasyków, a także i trochę poezji parnasowskich. Dopiero w r. 1881, pod czterdziestkę już licząc, wydaje pierwszą swoją powieść, uwieńczoną przez Akademję, pt.: „Zbrodnia Sylwestra Bonnard“, w której wprowadza po raz pierwszy swój ulubiony typ uczonego erudyty-dziwaka. Powieść ta — jak twierdzą krytycy fachowi — jest jedną z najpiękniejszych, jaką ma literatura francuska ostatniego pięćdziesięciolecia, książka o której sam autor w ostatnich latach życia miał się wyrazić, jako o najsłabszej w swoim dorobku.

W kilka lat potem, wychodzi druga świetna książka tego okresu „Książka mojego przyjaciela“, poświęcona lirycznym wspomnieniom lat dziecinnych, wdzięczna, subtelna i artystyczna, a następnie jego arcydzieło „Tais“.

Odtąd już France staje się ukochanym pisarzem francuskiej elity umysłowej. Każda powieść jego, czy będzie nią „Czerwona lilja“ o zmysłowej miłości na tle przepięknych widoków Florencji, czy też „Wyspa Pingwinów“, przedstawiająca parodję dziejów Francji, czy wreszcie „Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką“, w której autor maluje z pogodą kulturę przedrewolucyjnej Francji, — daje czytelnikowi wiele wrażeń estetycznych i umysłowych.

Najswobodniej i z największą ironją malował France życie i panowanie sfer arystokratycznych i klerykalnych, mnichów i bigotów. Był artystą w ironizowaniu tego środowiska.

„Bez ironji — mówi w „Buncie aniołów" — świat byłby jak las bez ptaków; ironja to wesele i radość mądrości".

Z tego samego źródła płynie i książka „Ogród Epikura".

„Im dłużej rozmyślam o życiu ludzkiem, tem wyraźniej widzę, że, jako stałych świadków i sędziów, należałoby postawić przy niem Ironję i Litość — podobnie jak to czynili egipcjanie, przywołując ku swym zmarłym boginię Izys i boginię Neftys. Ironja i Litość — to dwie dobre doradczynie; jedna, uśmiechająca się, uprzyjemnia życie, druga zaś płacząca, uświęca je. Ironja, wzywana przezemnie, zgoła nie jest okrutna. Nie wyśmiewa ona ani miłości, ani piękna. Jest miła i usposobiona przychylnie. Jej uśmiech łagodzi gniew; ona właśnie każe nam szydzić z tych złych i głupich, których bez niej możebyśmy — w słabości swej — znienawidzili".

Tak mówi France w „Ogrodzie Epikura" i jest to wyraz jego oblicza wobec tragedji ludzkiej.

Ale France był przez długie lata człowiekiem partji rewolucyjnej, był na jej usługach. W jego utworach niema o tej pracy ani śladu. „Te sprawy — jak twierdzi Jan Parandowski — pozostały w afiszach, które podpisywał i które przepadły z wiatrem i deszczem". Tak, ale France był czynnym rewolucjonistą i swój wielki talent śmiało wystawiał na hałaśliwe oklaski wiecowe.

Nie mając daru krasomówstwa, czytał swe mowy na zebraniach i wiecach robotniczych. Nie odmawiał swego podpisu, ilekroć jakabądź grupa ludzi podnosiła we Francji protest przeciwko niesprawiedliwości, uciskowi lub wyzyskowi. Począwszy od słynnej sprawy Dreyfusa (1897 r.), poprzez wszystkie głośne w Paryżu procesy polityczne, manifestacje robotnicze, aż do międzynarodowego ruchu robotniczego, Anatol Fnance zawsze manifestował razem z tymi, którzy byli przeciw ciemnym mocom reakcji.

Z owej epoki datuje się również jego działalność propagandowa na rzecz rozdziału kościoła od państwa.

*

Historja oddzielenia kościoła od państwa we Francji tak się przedstawia:

Dnia 11 grudnia 1906 r. weszła w życie we Francji ustawa o oddzieleniu kościoła od państwa. W ten sposób zostały urzeczywistnione wieloletnie zabiegi wolnomyślicieli i socjalistów francuskich.

Istota tej ustawy polegała na tem, że religja stała się we Francji sprawą prywatną obywateli, sprawą sumienia i uczuć jednostki. Wyznawcy sami załatwiać muszą swoie sprawy religijne, sami zaspakajać potrzeby kleru i swoich kościołów.

Do r. 1906 obowiązywał we Francji tak zwany konkordat, zawarty między papieżem a Napoleonem I w 1801 r., na którego mocy kościół był instytucją państwową, kler

urzędnikami państwowymi, a Watykan obowiązany był komunikować się z klerem francuskim za pośrednictwem rządu i w porozumieniu z rządem mianować biskupów. Watykan jednak nie trzymał się ściśle tego prawa, wtrącał się do spraw wewnętrznych francuskich, popierał stronnictwa klerykalne i monarchiczne z wielką krzywdą dla republiki. Demokracja francuska nie chciała i nie mogła tolerować tego wtrącania się obcej potęgi do jej spraw państwowych. Walki z kościołem nie chciała, bo mieszczaństwo było zbyt silnie przywiązane do niego, ale wystąpiła przeciw rozwielmożnionemu klerykalizmowi, który nadużywał nadanej mu wolności i podrywał byt i autorytet republiki. Ze swobody stowarzyszeń skorzystały klasztory, pozakładały mnóstwo szkół, w których szczepiły zasady klerykalne i monarchiczne.

Wychowańcy tych szkół stopniowo opanowali wszystkie placówki w armji i administracji państwowej i przygotowali zamach stanu. Mnisi sądzili podczas t. zw. sprawy Dreyfusa, że nadeszła odpowiednia chwila do obalenia republiki. Arystokracja, burżuazja i klasztory łożyły miljony na agitację antyrepublikańską, salony arystokratów i klasztorne cele były punktem zbornym klerykalno - monarchicznych spiskowców. Demokracji, a przedewszystkiem robotnikom zorganizowanym w partji socjalistycznej, udało się zwalczyć cios zdrajców sprawy republikańskiej.

Utworzone ministerjum obrony republikańskiej na czele z Piotrem Waldeck Rousseau[1]), popierane przez socjalistów i radykałów, usunęło z armji i administracji monarchistów i zabrało się do tępienia tych gniazd czarnej reakcji, jakiemi były klasztory. Działalność klasztorów została poddana kontroli państwowej, a szkoły klasztorne pozamykane i zamieniane na szkoły świeckie.

Klasztorom nie podobała się nowa ustawa, gdyż ich agitatorsko-polityczna działalność była skrępowana. Niektóre zakony powynosiły się z Francji i oskarżyły przed papieżem kilku biskupów, którzy popierali rząd w jego akcji. Papież zgromił za to biskupów i zawezwał ich do Rzymu. Ci jednak w myśl konkordatu zwrócili się do ministerstwa wyznań z zapytaniem, co mają czynić? Watykan bowiem ominął rząd, a zwrócił się bezpośrednio do biskupów. To właśnie dało powód do wymiany not między rządem francuskim i Watykanem. Papież Pius X, zostający pod wpływem swego sekretarza stanu, fanatycznego i nieprzejednanego hiszpana, kardynała Merry del Valla, przybrał odrazu ostrą postawę. Zatarg się zaognił i doprowadził do zerwania z Watykanem. Wtedy została wysunięta sprawa oddzielenia kościoła od państwa, której demokracja francuska domagała się oddawna.

Oddzielenie kościoła od państwa zadało stanowczy cios wpływom kleru; agitacja monarchistyczna, grająca na nacjo-

---

[1]) Po ustąpieniu W. Rousseau objął ster rządu Emil Combes, przywódca radykałów, wielki przeciwnik klerykalizmu.

nalistycznych uczuciach francuzów, choć prowadzona z niezmierną wrzawą i butą, nie znalazła posłuchu u szerokich mas ludności.

*

Owocem tej walki o rozdział kościoła od państwa jest cały szereg artykułów i studjów France'a, z których w języku polskim mamy dziełko p. t. „Kościół a Rzeczpospolita".

I po tych walkach z klerem France stał się, jak go nazywano powszechnie, „papieżem wolnej myśli". Matka jego była gorliwą katoliczką. On zaś, będąc od lat młodych mólem książkowym, świat swój widział przez płonące ognisko myśli wolnej. W swem dziełku „Kościół a Rzeczpospolita" pisze o sobie: „Byłem bardzo młody w chwili, gdy dokonywano spisu ludności pod rządem porządku moralnego, i gdy państwo z ciekawością, jakiej odtąd nigdy już nie ujawniło, zapytywało nietylko o stan cywilny mieszkańców, lecz równteż o ich wyznanie. W facjatce mej odszukał mnie pewien komisarz. Zadał mi pytania, przepisane przez ministra. Odpowiadałem, a on zapisywał odpowiedzi na wielkim arkuszu papieru, do tego przeznaczonym. Gdy zapytał mnie, do jakiego wyznania należę, odpowiedziałem mu, że nie należę do żadnego wyznania. Był to człowiek łagodny i cichy. Uśmiechnął się z trudem. „To nic nie szkodzi — szepnął. Byłbym panu wdzięczny, gdyby pan zechciał wybrać sobie jakiekolwiek dla porządku mych papierów". Oświadczyłem mu przez grzeczność, że jestem buddystą. I było to w owej chwili prawdą. Umysłom ruchliwym, niespokojnym i ciekawym odsłania się codzień inna strona boskości. Do czegóż byłaby nam służyła swoboda myślenia, gdybyśmy z niej nie korzystali dla odkrywania prawdy, zawartej w każdej religji?

— „Buddysta? — Tak, panie, buddysta". Zaczął ssać koniec ołówka, popatrzył kolejno to na arkusz papieru, to na buddystę z wyrazem bolesnego zakłopotania. Następnie westchnął: „Bo to widzi pan, nie mam żadnej rubryki dla buddyzmu". W istocie, na papierze widniały tylko trzy szpalty dla religji. Państwo uznawało jedynie trzy formy boskości".

W ostatniem ćwierćwieczu swego życia France napisał cały szereg utworów, stanowiących cykl powieściowy: „W cieniu więzów", „Manekin trzcinowy", „Pierścień z ametystem", „Pan Bergeret w Paryżu". Ponadto napisał: „Bunt aniołów", „Historja komiczna" i „Poglądy ks. Coignarda".

W r. 1912 powstała powieść na tle Wielkiej Rewolucji „Bogowie łakną krwi", w której sceptycyzm France'a ujawnił się jasno na tle tej całej rzeczywistości dziejowej. Sceptyk France, zapewne bezwiednie, w dziwny sposób ujął treść tych dziejów. Jego powieść o Wielkiej Rewolucji Francuskiej nigdzie nie wysuwa wielkich uniesień mas ludowych, tego tłumu, który był jednak głównym czynnikiem rewolucyjnym. Mas niema u France'a, są tylko drobni ludzie, którzy mordują

się wzajemnie dla jakichś urojeń. Dlaczego rewolucja wybuchła? Niewiadomo; zapewne bogowie łaknęli krwi, łaknęli i sławy. Nad tak przedstawioną rewolucją unoszą się Ironja i Litość, litość pogardliwa zresztą, o której wspomina France, jako psycholog współczesnej burżuazji francuskiej. Burżuazja nie lubi dziejów Wielkiej Rewolucji; jej walki o Wolność, Równość, Braterstwo dawno w niej zamarły. I dlatego France chciał być wierny tej klasie ginącego świata. Ale za to w powieści tej autor znakomicie odmalował stan umysłowy i psychiczny jednostek biorących udział w rewolucji, żyjących marzeniem i żyjących rzeczywistością.

Dwutomowe dzieło historyczne „Życie Joanny d'Arc" stanowi istną kopalnię spostrzeżeń autora, oświetlających marzenia prawieczne ludów o bogu i djabłach, o piekle i niebie, o karach i zbawieniu. France starał się ująć historję Dziewicy Orleańskiej tą metodą, jaką zastosował jego mistrz, Ernest Renan, w dziełach swych „Żywot Jezusa", „Apostołowie", „Święty Paweł".

Wreszcie ostatnie jego dzieło — to „Na białych głazach", gdzie maluje nam po mistrzowsku kulturę rzymską, jej zadania i cele, jej wyższość ponad spory fanatyków i sekciarzy.

W dziełach W. Feldmana jest taka wzmianka: „W powieści satyrycznej mistrzem jest niewątpliwie Anatol France, ten wirtuoz miękkiego słowa, któremu umie nadawać ostrość tysiąca szpilek, ten sceptyk pobłażliwy, wnuk Renana, nie wypuszczający ani na chwilę z ręki sztandaru".

W roku 1921 France za swą twórczość literacką otrzymał nagrodę Nobla. Kler też mu się przysłużył gorliwie: wszystkie jego dzieła umieścił na indeksie.

Pracowity swój żywot zakończył 13 października 1924 r.

Był to jednak dziwny myśliciel i rzadki człowiek, który łączył w sobie dwa kierunki myśli i czynu, uwieńczone sławą— najwytworniejszego pisarza burżuazyjnego i wiernego towarzysza partji proletarjackiej.

W. Poniecki

Z wierzeń i obyczajów dawnego Meksyku

Dr. Juljusz Szygowski. STAROŻYTNY MEKSYK. W-wa, 1933, Rój, str. 120, cena zł. 4.

Jest to pierwsza książka w polskim języku, traktująca o Meksyku starożytnym czyli o Meksyku, niesplądrowanym jeszcze przez Corteza (1519 — 1521). Po reportażu Melchjora Wańkowicza p. t. „W kościołach Meksyku" (W. 1927). „Starożytny Meksyk" d ra Szygowskiego jest dopiero drugą książką

o tym kraju w naszej literaturze. Przedtem musieliśmy się zadowalać tylko wzmiankami w encyklopedjach i w podręcznikach historji powszechnej, bo rzadko kto, poza specjalistami, sięgał do literatur obcych, aby poznać dokładniej dzieje tego ciekawego kraju o samorodnej kulturze, kto wie, czy nie starszej od chińskiej, babilońskiej, egipskiej...

Autor był przez trzy lata sekretarzem naszego poselstwa w Meksyku (obecnie jest konsulem w Chicago). Wolne chwile od zajęć poświęcał badaniu przeszłości kraju, w którym urzędował. I oto z tych jego zainteresowań intelektualnych powstała książka niniejsza.

Pierwszy jej rozdział traktuje o ludach pierwotnych Meksyku; drugi o mitologji, wierzeniach i obrzędach religijnych azteków; trzeci o obyczajach, zwyczajach, ustroju wojskowym i administracyjnym; czwarty o wiedzy i sztuce ludów meksykańskich. Religjologów i mitologów zainteresuje przedewszystkiem rozdział drugi, folklorystów, socjologów i badaczy kultur pierwotnych — reszta.

Mitologja meksykańska nie różni się zasadniczo od mitologji ludów pierwotnych, stojących na równym z nimi stopniu rozwoju umysłowego. Ludy meksykańskie były tak, jak i grecy, helozoistami (pojmującymi naturę jako twór żyjący) i politeistami, uprawiali kult natury, nieobcy był im również i totemizm. Z kultem natury na niższych stadjach rozwoju umysłowego i moralnego łączył się zawsze krwawy kult, połączony z ofiarami z życia: ptaków, zwierząt, ludzi... Tak było w Babilonji, w Asyrji, w Egipcie, w Grecji, w Rzymie, w Judei... Ale mamy wrażenie, że tak krwawego kultu, jaki był w Meksyku, nie zna chyba żadna z religij pierwotnych. Gdyby zwierzęta domowe umiały czytać i wzięły do rąk mitologję grecką z jej hekatombami, nabrałyby takiego samego obrzydzenia do religji, jakiego nabiera człowiek dzisiejszy, czytając o rytuale religijnym azteków, mayów i miksteko-zapoteków. Ludy te niemal cały rok okrągły tylko mordowały zwierzęta, ptaki, ludzi (głównie jeńców wojennych i niewolników) ku czci swoich bogów. Co dnia na cześć wschodzącego słońca kapłani urywali głowy przepiórkom i pokazywali je słońcu. Jeńców i niewolników szlachtowano jak bydło setkami a nawet tysiącami. Jeden z królów meksykańskich, Axayacatl (1469 — 1481) tak się zmordował zabijaniem niewolników na cześć bogów, że w parę dni potem umarł. O kaleczeniu siebie i innych przy lada okazji „dla przypodobaniu się bogu" — nawet nie mówimy. Wojny prowadzono tylko poto, aby brać jeńców i składać ich następnie na ofiarę różnym bogom, głównie bogu wojny, słońca i jego małżonki księżyca, nawet bogu kukurydzy. Przeznaczeni na ofiarę byli najczęściej przebierani za bóstwa, którym mieli być poświęceni. Ofiary były zabijane w świątyniach, do których wiodły wyższe lub niższe kondygnacje schodów. Temi boskiemi rzeźnikami byli oczywiście kapłani. Przecinali oni kamiennym

nożem (echa kamiennej epoki) piersi ofiarom, wyrywali serce i zjadali je a trupa zrzucali ze schodów świątyni, skąd je zabierali właściciele ofiary i zjadali w uroczystym nastroju. Była to bowiem ich „komunja", łącząca ich z bóstwem.

Aby dać czytelnikom pojęcie, jak to się odbywało, zacytujemy z książki konsula Szygowskiego parę tych pobożnych i „niewinnych" praktyk:

„Ofiary mordowano w ten sposób, że pięciu kapłanów rzucało nieszczęśliwego człowieka plecami na stół kamienny, znajdujący się przed ołtarzem bóstwa, trzymając go za ręce, nogi i głowę, szósty zaś kapłan nożem obsydjanowym (szklisty minerał pochodzenia wulkanicznego, p. n.) rozcinał piersi wszerz, wyjmował serce, wznosił je ku bóstwu (por. podniesienie, uw. n.), a następnie rzucał posągowi bożka pod nogi. Wyczerpywali gorącą krew z otwartej klatki piersiowej i dawali ją pić posągom. Następnie kapłani zjadali serca, a trupy zrzucali ze schodów świątyni... Jeżeli zamordowaną ofiarą był jeniec wojenny, wówczas wojownik, który go wziął do niewoli, zabierał ciało i zaraz u stóp świątyni odcinał trupowi głowę i oddawał ją kapłanom, resztę zaś ciała zabierał do domu" (str. 69).

„Podczas świątecznego okresu na cześć boga Tlaloca kazano żyć jednemu z niewolników i niewolnicy ze sobą w związku małżeńskim przez 30 dni, a następnie zabijano ich, a ciała grzebano w piwnicy świątyni. Gdy kukurydza zaczynała kiełkować mordowano dziewczynkę i chłopczyka, dzieci osób zamożnych, odcinano im głowy, a ciała wynoszono w góry i przechowywano tam w kamiennych skrzyniach jako relikwie. W miesiącu Atlacahualca (nasz luty) ofiarowali niemowlęta przy piersi, w miesiącu Atemoztli (u nas początek listopada) zatapiano w jeziorze dziewczynkę i chłopczyka, w czasie zaś, gdy kukurydza (główny artykuł spożywczy) dojrzewała, kupowali kapłani czworo dzieci w wieku 5 — 6 lat, zamykali je w piwnicy i tam morzyli głodem" (str. 71).

Słynny był w Meksyku (dziś już w muzeum) „Kamień słońca", zwany także „Kalendarzem azteckim". Jest to olbrzymi monolit wagi 24.000 kg. Stał on w świątyni zakonu rycerzy słońca.

„Zakon ten obchodził dwa razy do roku swe święto. W dzień każdego z tych świąt panował ogólny post. Gdy słońce stanęło w zenicie, kapłani uderzali w trąby i muszle, a lud gromadnie schodził się pod świątynię. Kapłani wybierali jednego z jeńców wojennych, malowali mu nogi w podłużne pasy, jeden policzek pokrywali czerwoną barwą, a do włosów przyklejali mu białe pióra. Tak przystrojonemu niewolnikowi dawano do ręki laskę, ozdobioną frendzlami ze skóry i papieru, do drugiej zaś okrągłą tarczę. Skoro tak przybrany niewolnik wstąpił pierwszym krokiem na schody świątyni, wówczas kapłani wstrzymywali go i wygłaszali doń tego rodzaju formułę:

„Panie, o to cię prosimy, być poszedł przed oblicze naszego boga słońca, byś go od nas pozdrowił i powiedział mu, by on wspomniał sobie swych synów, wojowników i możnych, którzy obecnie tu właśnie się zgromadzili i by im błogosławił. Proś go też, by przyjął te małe podarki: laskę, by mógł się na niej wspierać, a tarczę, aby go chroniła".

Po tych słowach niewolnik powoli wchodził na szczyt świątyni, stanąwszy przed kamieniem słońca, stawał i powtarzał swe posłannictwo. Następnie odbierano mu insygnia i podarki dla boga słońca i zabijano kamiennym nożem, krwią jego mazali kapłani usta posągu boga słońca i skrapiali wspomniany kamień. Otwierali słonecznemu posłańcowi piersi, wyrywali serce i składali je słońcu na ofiarę" (str. 74 n.).

Na cześć swojej trójcy (znali ją również) zabijano trzech niewolników, których przed czterdziestoma dniami wybrano za uosobienie owej trójcy i którym składano odpowiednie hołdy. Pomordowanym rozcinano następnie skórę styłu ciała od głowy aż do stóp (bez chloroformu oczywiście), odzierano ich ze skóry, ciało zabierał właściciel niewolników do spożycia w gronie rodziny i znajomych, a w skóry oblekano trzech innych niewolników, którzy przez pewien czas znowu reprezentowali świętą trójcę. Następnie, gdy już im naskładali dość różnych hołdów, wiązano im nogi w ten sposób, że prawą nogę jednego, wiązano od kostki do kolana z nogą lewą drugiego. Byli oni wówczas dopiero symbolem trójcy. Wprowadzano ich potem do świątyni (czyli szlachtuza), i stawiano przy dwóch kamieniach ofiarnych. Zjawiali się teraz czterej wojownicy, dwaj przebrani za tygrysów, a dwaj za orłów (totemy), poczem obchodzili wszyscy w pląsach owe kamienie. Następnie rozbierano do naga jednego z „żywych bogów" (komunja też ma być „żywym bogiem") i przywiązywano go za nogę do kamienia. Dawano mu w rękę drewniany miecz, nabijany obsydjanami i kazano walczyć z pierwszym „tygrysem", a jeżeli tego pokonał — z pierwszym „orłem", a gdyby tego pokonał, co przy nierównej walce, nie zdarzało się prawie nigdy — z drugim „tygrysem" i ewent. z drugim „orłem". Gdy tylko uwiązany niewolnik otrzymał pierwszą ranę, odzywały się bębny i trąby i kapłani odwiązywali rannego, rzucali na jeden z kamieni i wyrywali mu serce. W ten sposób ginęli wszyscy niewolnicy uważani przed chwilą za boga w trójcy świętej jedynego (por. str. 71 n.).

„W osobie bóstwa Tezcatlipoca znajduje się wyraz pomieszania pojęcia jedności względnie wieloosobowości, materji i ducha, boga i człowieka, dobra i zła. Tezcatlipoca przedstawia też niejako opatrzność boską. Uroczystości odprawiane na cześć tego bóstwa odbywały się raz do roku. Z pośród niewolników wybierano młodzieńca zdrowego i inteligentnego, który umiał wyrażać się poprawnie, śpiewać

i grać na piszczałce i nazywano go bogiem Tezcatlipoca. Nie obcinano mu włosów tak długo, aż nie urosły mu po pas. Przyklejano mu do włosów zapomocą żywicy białe kurze pióra, zdobiono go kwiatami, obwieszano go drogiemi kamieniami i złotem. Lud, widząc go przechodzącego ulicami miasta, oddawał mu cześć jako bogu Tezcatlipoca. Dwadzieścia dni przed uroczystością obcinano mu włosy, dawano mu do towarzystwa cztery piękne dziewczęta, a wszystka szlachta aztecka z wyjątkiem króla zabawiała się wraz z nim wśród codziennych wesołych i wystawnych uczt. Tuż przed dniem świątecznym, opuszczają go dziewczęta, potem szlachta, tak, że pozostawał on jedynie w towarzystwie ośmiu służących. Z rozpoczęciem uroczystości w dniu święta Tezcatlipoca wchodził niewolnik sam powoli po schodach teocalli (świątyni) na jej szczyt, zrzucając z siebie ozdoby i kwiaty, któremi był przystrojony. Kapłani i procesje wiernych oddawali mu cześć jako bogu. Po skończonych obrzędach zabijali go kapłani w sposób przyjęty rytuałem. Trupa nie zrzucano na dół po schodach, lecz obcinano mu głowę, którą składano w świątyni. Ciało jego zjadał król, kapłani i możni" (str. 66 n).

Wiara w „nadprzyrodzoność" była tak wielka, psychoza i sugestja religijna tak silna, że nikt zdaje się przeciwko tej rzezi nie protestował, a nawet matki oddawały z chęcią swe dzieci na rzeź, lub zamorzenie głodem — dla nieba (por. ofiarę Izaaka).

Bez względu na to, co dzisiejsi uczeni meksykańscy mówią o tem, zwalając winę na brak w ówczesnym Meksyku krów i wołów, z ktorych możnaby czynić ofiary bogom, było to najohydniejsze ludożerstwo, uprawiane pod płaszczykiem religji, tak jak i dziś wiele ohyd popełnia się w życiu pod tą samą osłoną, choć ofiary w naszych światyniach są dziś już tylko bezkrwawe. Ale są pieniężne, bo kultu nie może być widocznie bez ofiar, skoro są... ofiarnicy-kapłani. Muszą przecież coś robić przy ołtarzach, aby sprawiało wrażenie, że są potrzebni.

Rzecz jasna, że przy tych wszystkich krwawych ofiarach kapłani meksykańscy też tam coś sobie pod nosem mamrotali i coś śpiewali i mówili, jak i nasi, tylko, że tego już nikt nie zanotował, gdyż pierwsze źródła do ich wierzeń i kultu spisywali cudzoziemcy, a przedewszyskiem duchowni hiszpańscy. I to dopiero wtenczas, kiedy dawny kult zanikł.

Ten krwawy rytuał ustał po podbiciu Meksyku przez Corteza i po zaprowadzeniu chrześcijaństwa, a raczej katolicyzmu, który spełnia „niekrwawą" ofiarę mszy, powtarzając jednak symbolicznie krawą ofiarę Golgoty. Wraz z katolicyzmem hiszpańskim wkroczyła w granice Meksyku inkwizycja, a wojsko hiszpańskie mordowało setkami niechcących się ochrzcić lub wyrzec „świętej wiary swoich ojców". Ale sczasem i to ustało, i świętej inkwizycji jak również Corteza i Burbonów

już niema. Rząd republikański zaprotestował nawet przeciwko bezkrwawym ofiarom i zredukował spadkobierców ideowych dawnych rzeźników-kapłanów meksykańskich do jednego na 50 wzgl. 100 tys. „wiernych".

Oprócz wspomnianych już bogów, zakonów, postów, krwawych ofiar, rytuału, stanu kapłańskiego, swoistej komunji (należało do niej równiej zjadanie pępowiny noworodka przez obecnych przy chrzcie, str. 83), ludy meksykańskie znały jeszcze wiele bogów i bogiń (boginiom były ofiarowane kobiety, bogom — mężczyźni), oddawały cześć czterem żywiołom, znały krzyż, piekło, chrzest z wody, oczyszczenie od wpływu złego ducha matek i mężatek, czyli to, co w katolickim kościele nazywa się „oczyszczeniem" matki po urodzeniu dziecka (w kalendarzu mamy nawet „Oczyszczenie matki boskiej" — 2. II.), i „wywodem" po ślubie. Wyprowadzały rodzaj ludzki od jednej pary, stworzonej przez bogów czterech żywiołów, przyczem mężczyźnie kazano uprawiać ziemię (por. biblijne: „przeklęta będzie ziemia w pracy twej" I Mojż. 3:17), a kobiecie prząść i prać. Znały podanie o potopie, podczas którego wszyscy ludzie zginęli, prócz jednej pary ludzkiej, która się uratowała na pniu drzewa i której opadanie wód zwiastował gołąb. Znały „lata jubileuszowe" odbywające się co 52 lata, podczas którego zapalano „nowy ogień" i rozdawano wiernym. Znały „święto dziecka" co 4 lata. Zwłoki grzebano lub palono. Chłopców obrzezywano, a dziewczęta deflorowano w 28 wzgl. w 29 dni po urodzeniu i po chrzcie. Składano bogom „wota" w kształcie różnych części ciała ludzkiego, uczynionych z kukurydzanego ciasta. Znano też „przysposobienie wojskowe". Dzieci karano nad ogniem. Szkoły mieli dwóch typów: duchowne i świeckie. Ceremonjał ślubny był następujący: narzeczonych sadzano na macie około zapalonego ogniska (chrzest dziecka z wody odbywał się też przy palącym się ognisku — w kościele katolickim odbywa się przy świecach), okrywano ich płaszczami przy odpowiednich przemówieniach, następnie rozbierano do naga, oprowadzano 7 razy (znana nam dobrze magiczna, wzgl. symboliczna liczba) dookoła ogniska, i pozostawiano razem przez 4 dni. Po czterech dniach zjawiał się kapłan, oblewał (oczyszczał) narzeczonych wodą i ogłaszał małżeństwo za ważne. Przed każdym ważniejszym krokiem w życiu uciekano się do wyroczni.

Aztekowie znali herby i oznaki wojskowe. Handel prowadzili wymienny. Najcenniejszym artykułem wymiennym było kakao i złoty piasek. Mieli zorganizowane sądownictwo cywilne i karne i przepisaną procedurę przy wypowiadaniu wojny. Ich kodeks karny przewidywał kary b. surowe. Przeważnie śmierć przez ukamienowanie, zabicie pałką, uduszenie, pocięcie w kawałki (za zdradę kraju), zdegradowanie wolnego do stanu niewolnictwa i t. d. Karano w ten sposób: zabójstwo, kradzież, oszustwo, cudzołóstwo, kazirodztwo...

Mieli dość rozwiniętą architekturę (pałace, świątynie, piramidy...[1]) i rzeźbę, przypominającą rzeźbę chińską lub indyjską. Czas liczyli na doby, miesiące, lata i wieki. Rok miał 365 dni z latami przestępnemi co 4 lata (jak w kalendarzu juljańskim), rok miał 18 miesięcy po 20 dni. 5 dni w końcu roku było wolnych od pracy Wiek miał 52 lata. Nowy rok zaczynał się od naszego lutego. Wiek świata obliczyli (do r. 1521) na 32.089 lat, czyli obecny rok 1934, byłby w dawnym Meksyku obecnie „rokiem pańskim" 32.503-cim.

Na wierzeniach, kulturze i obyczaju dawnych ludów meksykańskich znać niewątpliwie wpływy pochodzenia europejskiego wzgl. azjatyckiego i afrykańskiego. Dowodziłoby to, że na wiele lat przed odkryciem Ameryki przez Kolumba, trafiali do Meksyku jacyś nieznani nam podróżnicy lub rozbitkowie. Np. w podaniach szczepów, zamieszkałych nad zatoką Meksykańską, spotykano wzmianki a białym bogu, który nauczywszy ludzi wiele mądrości oraz pożytecznych rzeczy, przemienił się w kometę i uleciał do nieba (wniebowstąpienie?).

Książka d-ra Szygowskiego warta jest poznania.

H. Wr.

Młody Bismarck i jego przeżycia religijne

(DOKOŃCZENIE)

Rozpoczyna się gwałtowna robota katechizowania opornego doktora. Przewijają się przez nią rysy wzruszające, rozrzewniające, acz chwilami komiczne. Oczywiście żadna ze stron nie uświadamia sobie tego mimowolnego komizmu. Sprawa odbywa się poważnie: pomiędzy niebem szczęśliwej wiary i piekłem potępienia za niewiarę. Nie będziemy się chyba dziwili, że Bismarck jeździ stale do tej pięknej i natchnionej misjonarki, że staje przed nią wzruszony i słucha jej chętnie. Nie omyliła się widocznie, sądząc, że jego niewiara nie jest oparta na słupach granitowych, że on sam tęskni do wiary, albowiem słucha jej coraz poważniej, jest zadumany, chwilami wydaje się jej nawet wystraszonym.

Z początku bodaj jest tu tylko rozkosz z obcowania z piękną i tak szczerze zaniepokojoną o jego duszę — daleką od szczęścia — dziewczyną. Bismarck jest przytem niesłychanie uprzejmym. Albowiem z musu grzeczności udaje nawet, że podobają mu się listy, pisane doń przez jej narzeczonego,

---

[1]) Wśród podań meksykańskich znajduje się wzmianka o budowie przez olbrzymów wielkiej piramidy, sięgającej do nieba. Przedsięwzięcie nie zostało wykonane, ponieważ rozgniewani bogowie wybili budowniczych piorunami. Por. legendę o wieży Babel.

Blanckenburga, w takich samych misjonarskich celach, acz ton ich musiał przypominać szorstki i gwałtowny styl jakiegoś Tertuliana, skoro sam autor tych listów charakteryzuje je tak: „są to w młodochrześcijańskim zapale przyjaźni... kule grube, jak grad, miotane w najuczciwszych zamiarach w twoje chore serce". Co prawda na te listy — a było ich aż trzy i wszystkie zalecały mu obowiązek czytania biblji i wszystkie zachęcały do wywnętrzeń, Bismarck nie odpowiedział ani razu. Ale niepodobna było gniewać się na nie, gdyż za tym korespondentem tkwiła zawsze Marja, która jest fantastycznie pobudzona tą przyjaźnią z feniksem kresów pomorskich, co to „uchodzi za wzór dzikości i arogancji, a przecież w rozmowie bywa tak pociągającym". Tak pisze ona sama i kandydatowi na nawrócenie się nie szczędzi nagród. Albowiem kiedy śle swemu Maurycemu z błogosławieństwem „błękitny kwiat", który ten przypnie sobie na piersi, nie pomija sposobności, aby zrekompensować to Ottonowi i ofiarowuje mu... purpurową różę. „Sama wie, czemu tak czyni" — dodaje biograf.

Przypomnijmy sobie nawracanie w Rzymie w domu Ankwiczów Mickiewicza przez Ewę, uwieńczone dobrym skutkiem, z epoki tylko niewiele wcześniejszej, aby ocenić skuteczność misyjnej działalności Bismarckowskiej Maryli, coprawda sięgającej do środków ostrzejszych wobec wyższej oporności pacjenta. Może będziemy nawet nieco zdziwieni i zatrwożeni jezuickością tych środków, pobożnem kłamstwem na usługach „wielkiej religijnej prawdy". Bo oto pewnego dnia na Zielone Świątki młoda para narzeczonych zjeżdża się, zmawia się co do wspólnego wystąpienia i niebawem zaprasza Bismarcka do ogrodowej altany. Tu oboje pokazują niewierzącemu sfingowany list jakiejś rzekomej przyjaciółki Bismarcka, rozkochanej w nim, dogorywającej na suchoty, ale „niemogącej spokojnie umrzeć, dopóki ten jej ukochany nie nawróci się do prawdziwej wiary". I przyszły wielki mąż stanu, potrafiący fingować zręcznie depesze polityczne, gdy zachodzi potrzeba wywołania wojny franko-pruskiej, wierzy. Albowiem, czyż można nie uwierzyć czystym błękitnym oczom tej blondwłosej misjonarki, lub podejrzewać o fałsz naiwnego i pełnego szczerego entuzjazmu Blanckenburga, który z taką wiarą w jego uczciwość pozwala Bismarckowi na długie gawędy teologiczne ze swoją narzeczoną?..

Ta gra misjonarska postępuje dalej. Bismarck otrzymuje listy od Blanckenburga, który znowu wyjechał, pełne egzaltacji i uroczystych zapewnień. Jest w nich mowa ciągle o nieszczęsnej, rozkochanej suchotnicy. Wreszcie pada grom. Nieznajoma dziewczyna — przez dyskrecję nie wymienia się jej nazwiska — „umarła!.. ale jeszcze przed śmiercią doznała w sercu wewnętrznej pewności, że dusza twoja nie będzie zgubioną... O, gdybyś wiedział, Ottonie, jak to dzieło będzie uczczone modlitwą wraz z umarłą na wyspach przyjaźni". (Alegoryczne określenie stosunku przyjaźni dla adresata pary narzeczeńskiej).

O wstrząśnieniu, jakiego doznał Bismarck — na ten raz wspaniale naiwny — świadczy odpowiedź Blanckenburga na jego list, króry nie dochował się, gdyż adresat rozgoryczony na późniejsze odstępstwo nawróconego, spalił go, podczas gdy odpowiedź zachowała się w papierach Bismarcka. „Czemu płakałeś? Dlaczego moje oczy przy czytaniu twego listu napełniły się łzami? Ach, Otto! Otto! — każde słowo w twoim liście jest prawdą“.

Tedy Bismarck był już bliskim nawrócenia. Jednakże oparł się. Zwyciężył nie tyle racjonalizm w tym wypadku, ile jego stała duma. Naraz cała korespondencja urywa się; Bismarck odczuwa współczucie obojga jako „litość“, a tej nie znosi. Jest mu przykro, że został już „zaklasyfikowany“ jako neofita, że przestał być oryginalną zagadką; słowem, nie chce już nic o tem wszystkiem słyszeć.

„Deszcz, który spadł na pustynię, szybko wsiąknął w grunt“ — mówi Ludwig. Fakt, że płakał, słysząc o śmierci dziewczyny, która tajnie go kochała, nie budzi zdumienia; albowiem temu cynicznemu, ale czułemu mężczyźnie o budowie atletycznej było o łzy łatwo; występowały mu one obficie nawet później, na szczytach władzy politycznej, w dnie ciężkich rozstrzygnięć. Zresztą Bismarck, skłonny do niewiary gdy coś stanęło mu na drodze przekornie, nigdy w życiu nie pozbył się całkiem przesądów, albowiem, gdy właśnie sprzyjało mu powodzenie, powoływać się lubił na szczególną łaskę opatrzności nad nim.

Tym razem przecie uniknął misyjnych sieci Blanckenburga i pięknej panny von Thadden; sprzykrzyła mu się jej litosna opieka i znudziła go natarczywość opieki teologa-przyjaciela. Wkrótce po opisanych wypadkach znajduje się w podróży na morzu w momencie burzy, grożącej okrętowi rozbiciem. Odnajdujemy w nim znowu wesołego cynika. W liście do ojca — niewiernego, jak syn — pisze z drwinką o mdlejących z przerażenia paniach i o głośnej modlitwie za tonących jakiegoś bogatego handlarza, który „jak mi się przedtem zdawało, więcej dawał na swoją kamizelę, niż na swego boga“. Po tym obrazowym opisie morskiej choroby, połączonej z pobożnością, dodaje żartem; „ocaliła nas jeszcze na ten raz modlitwa kupca z Bremy“.

Jeszcze charakterystyczniejszym tak dla duszy Bismarcka jak i nastrojów epoki — i to na szczytach inteligencji szlacheckiej jest następny wypadek, który przydarzył się podczas wesela Marji von Thadden. Zapewne Bismarck był na tem weselu, aby nie zdradzić się wobec przyjaciela i nowoślubnej, że nie był nigdy całkiem obojętny dla niej. Otóż podczas tej uroczystości weselne rakiety zapaliły wieś — bawiono się dobrze i ładnie; goście weselni-pietyści w rodzaju purytanów angielskich — zanoszą modły do boga, odradzają natomiast gaszenie pożaru, powołując się na tezę Cromvella: „Pray and keep your power dry“ [1]). Wówczas Bismarck, ziry-

[1]) „Módlcie się, lecz trzymajcie proch sucho“. Red.

towany, dosiada konia i przez całą noc walczy z ogniem. Ale oto nazajutrz rankiem śród gości w domu Thaddenów zachodzi spór; niektórzy z zagorzalszych pietystów wyrażają powątpiewanie, czy... „ubezpieczenia od ognia są dopuszczalne?.. Bo przecież odbierają bogu środek pouczenia grzeszników“. Tu Bismarck wykrzykuje: „Ależ to jest właśnie bluźnierstwo, bo przecież ten i tak dosięgnąć nas może“. Mimo woli wypada nam zdumiewać się, że ten zbożny chrystjanizm był tak bliski fatalizmu mahometańskiego w rzekomo oświeconej warstwie i że w połowie XIX stulecia w pewnych sferach rozsądne słowo Bismarcka wyglądało, jak odkrycie.

Cokolwiek sądzimy o tej religijnej sielance, musimy oddać hołd czystości niemal dziecięcej dusz tych trojga osób, z których jedna — Marja całą swoją tkliwość miłosną względem pociągającego zmysły sąsiada przeobraziła bez reszty w misjonarstwo religijne, druga — Bismarck poskromił żądzę i nie wydał nigdy sekretu burzy, która zachodziła w jego sercu, wreszcie trzecia — Blanckenburg, ani na chwilę nie zaznał zazdrości i zaufał wpełni, a jak okazało się — słusznie, uczciwości obojga.

A przecie w sąsiedztwie krążą złośliwe plotki, że Bismarck jest kochankiem młodej pani Blanckenburg. Albowiem i po ślubie nie przestaje on odwiedzać młodej pary. „Znalazłem tam — jak pisze do kogoś — życie familijne, które mnie wkluczyło w swoje ramy, prawie ojczyznę“. Nie jest mu wcale w tej roli łatwo. Czasem podczas spacerów z Marją popada w melancholijną zadumę, chwilami w domu jej nerwy jego ulegają rozdrażnieniu, np. kiedy prosi ją, aby przestała trącać o siebie dwie szklanki, ponieważ „ten smutny dźwięk przypomina mu opowieść Hoffmana o duszy, uwięzionej w skrzypcach“. Bodaj lekiem na szarpania tajnej niewypowiedzianej miłości, nakazem poskramiającym, jest stan Marji: zostaje ona wkrótce matką; jej zmysłowość znalazła upust w małżeństwie, potem w macierzyństwie.

Drugiem lekarstwem jest spotkanie w domu Marji jej przyjaciółki, Joanny von Puttkamer. Nie tak piękna, jak tamta, ale pełna wdzięku, pociąga rychło kochliwą jeszcze wtedy duszę Bismarcka. Ona właśnie zostanie jego żoną i to dzięki przyczynieniu się — należy to podkreślić — nietylko Blanckenburga, ale i samej Marji, dokumentującej w ten sposób moc swego poświęcenia w doskonałem przeczuciu, że tu znajdzie wierne i oddane mu do końca życia kobiece serce. Ale peripetje tego nowego stosunku są długie i zatrącają ponownie o interesujące nas szczegóły religijnych przeżyć Bismarcka.

Joanna okazuje się bardziej tolerancyjną względem niewiary Bismarcka i gotowa jest pozostawić mu wolność poglądów podobnie, jak on, nie zamierza wywracać jej wiary, miłej mu w kobiecie, od której pożąda nietylko miłości, ale i posłuszeństwa w duchu zasad kanonicznych kościoła lute-

rańskiego w zgodzie z katolickim. Otóż tu napotyka Joanna pewien sprzeciw ze strony Marji, która — nie odstępując od raz przedsięwziętej gorliwie misji swojej — pragnie uczynić z przyjaciółki narzędzie do nawrócenia już poddającego się jej urokowi Bismarcka. Poucza ona tedy Joannę, że Bismarck jest potokiem, pokrytym lodami, których tajania i stopienia „należy oczekiwać długo, a w gwałtownym wybuchu“ — tu trafia w jądro jego charakteru — i doradza jej, aby starała się „zbliżyć tę duszę do światła“.

Już przy swoim stole weselnym usadowili nowożeńcy umyślnie Bismarcka obok Joanny von Puttkamer, potem przybiorą tych dwoje, jako towarzyszy, w swojej podróży poślubnej w góry Harcu. Jesteśmy tedy świadkami nowego spisku pobożnej pary, mającego tym razem dwa cele, oba zdążające do zapewnienia po ich myśli Bismarckowi szczęścia. Ze swatostwem łączy się uprzednia misja religijna — Blanckenburgowie chcą tego niespokojnego ducha wprowadzić do cichej przystani wiary, a zarazem uczynić go szczęśliwym małżonkiem. Zresztą w tej epoce sam Bismarck, przeszło trzydziestoletni mężczyzna, zarzuca awanturnicze projekty podróży do Azji, marzy o osiedleniu się na stałe w majątku dziedzicznym, o gospodarzeniu na roli i ogląda się za znalezieniem miłej, wiernej, rozsądnej kobiety, aby wprowadzić ją do swego zacisza. Lecz jeszcze waha się — wie bowiem, że owo szczęście małżeńskie musi być połączone z wyrzeczeniem się swobody i stanąć mu może na przeszkodzie w osiągnięciu jakichś wyższych przeznaczeń i szerszych zamysłów, o których szepce mu ukryty na dnie jego serca burzliwy szatan.

W podróży po Harcu Bismarck i Joanna zbliżają się ku sobie powoli, nieśmiało, jakgdyby dziwiąc się i równocześnie radując z tego wypadkowego poznania się. Narazie jednak on przekłada ciche rozmowy z poprzednią przyjaciółką, mężatką, nad pogawędki z panienką. A tej ostatniej bynajmniej nie powodzi się w jej nieśmiałych i rychło, wobec potężniejszej woli, zaniechanych próbach nawrócenia Bismarcka. Co prawda, temu ostatniemu na dobrych chęciach nie zbywa, bo oto ustąpił naleganiom Blanckenburga i zmusza siebie do rozczytywania się w piśmie świętem.

Wszelako nie dałoby to pożądanych skutków, gdyby nie wypadek, który zaszedł rychło po powrocie z Harcu. Marja przewidziała trafnie, że do roztajania lodów duszy Bismarckowej potrzebny jest wybuch. Oto na Pomorzu nagle wybucha epidemja grypy; zabija brata Marji, zagraża jej matce. Marja siedzi przy jej łożu, nocą pisze do Bismarcka przedziwnie poufne słowa: winien przybyć jaknajprędzej; matka umiera. Bismarck przychodzi — długie rozmowy, nabożeństwo wieczorne — on nie przyklęka wraz z innymi, ale „znajduje się w rzewnym nastroju“. Poczem sama Marja popada w chorobę, podlega atakom, omdlewa. Poleca zawiadomić go,

że „teraz winien się nawrócić, bo oto nadeszła pora najwyższa“.

A więc już druga kobieta, umierając, modli się za niego. Czyż może to nie trafić do jego wstrząśniętego serca? W tym nastroju — wobec bliskiej katastrofy — upór Bismarcka łamie się: po raz pierwszy po upływie półtora dziesiątka lat Bismarck odmawia modlitwy — czyni to bez ślęczenia nad kwestją, czy modlitwa jest rozumną — poprostu modli się na intencję ocalenia przyjaciółki.

Wstrząs psychiczny szerzy się. Bismarck ze zdumieniem słyszy o wesołości umierającej i jej męża, którzy odczuwają tę śmierć, jako jej wcześniejszy odjazd z pewnością nadziei na spotkanie w innem życiu. Jesteśmy znowu świadkami przeżyć z jakiejś sceny powieści rzymskiej kardynała Wiesemana („Fabiola“), sięgającej korzeniami dziedzictwa prymitywów chrześcijaństwa w klasycznym Rzymie przed blisko dwoma tysiącami lat.

Ale modlitwa Bismarcka nie okazała się tak skuteczną, jak modlitwa kupca z Bremy. Bóg na ten raz „zarządził“, że Marja umarła. Ból jego jest — jak sam przyznaje — namiętny, samolubny, zwrócony na stratę, którą poniósł osobiście, a która wydaje mu się większą, niźli nawet śmierć rodziców. „Rozłąka ta wywołała w życiu mojem wielką i niespodziewaną lukę... Uczucie pustki, myśl o tem, że osoby drogiej, która stała mi się niezbędną, nie ujrzę nigdy i nie usłyszę — wszystko to było dla mnie nowem, poprostu nieprawdopodobnem; nie mogłem się z tem pogodzić“. I oto kiedy mówi później z osieroconym przyjacielem, wydzierają mu się z ust te wstrząsające słowa: „Jest to pierwsze serce, które straciłem, wiedząc o tem napewno, że biło dla mnie. Teraz wierzę w wieczność, — albo bóg nie stworzył także tego świata“.

A więc jest to poryw wiary, wynikłej z nadmiaru przygnębienia — wypadek całkiem naturalny. Takim jest pozór w tym zwrocie do boga pod musem modlitwy za umarłą i przyjaźni dla cudownie kornego po stracie wdowca. Ale jest to tylko pozór. Nawet w tym zwrocie jest coś specyficznie Bismarckowskiego, na co zwraca uwagę jego subtelny biograf. Wszakże Bismarck czyni zastrzeżenie: „albo“ — sceptyk pozostawia sobie drogę do odwrotu — owa chłodna jasność myśli, którą ugruntował w sobie, jako szesnastolatek, wyrzekający się modlitwy, nie przeminęła bez śladu. Nawet w tej rozstrzygającej godzinie, w tym marzycielskim nastroju rozmowy z owdowiałym przyjacielem, wierzącym w przyszłe niebo, Bismarck stawia ukośnie kwestję, czy aby prawdą jest, że bóg stworzył świat. Pragnie uwierzyć, bo chciałby jeszcze ujrzeć ukochaną w niebie, ale wydaje mu się to spotkanie nader wątpliwem — bo może świat nie został stworzony, po-

siada wieczność, lecz zimną, obojętną na cierpienia i marzenia człowieka.

Tu zachodzi zarazem ciekawy zwrot w uczuciach Bismarcka — tak gwałtownie potrzebuje pociechy, że dopiero teraz po raz pierwszy myśleć poczyna poważnie o związku małżeńskim z panną Puttkamer. Zręczny polityk, omamiający tak łatwo innych, potrafi teraz omamić samego siebie — przecież pragnie tylko dlatego połączenia się z Joanną, że była ona przyjaciółką tamtej, że jest pietystką, jak tamta, że łącząc się z nią jakoby tylko wypełnia życzenie umarłej. Kontynuuje przyjaźń i rozmowę z Marją. Tedy pisze do starego pana Puttkamera list z oświadczynami o rękę jego córki — list tak pełny powoływań się na pana boga, jak to nigdy nie zdarzyło się mu ani przedtem, ani potem. List ten poprostu wprawia w zamęt starego pietystę — ojca, który „słyszał tyle złego o niedowiarku", że wcale nie jest rad oddać w jego ręce losy swojej córki. Co prawda i w tym liście brzmią pewne tony charakterystyczne dla rozdwojonej duszy Bismarcka. Oto powiada: „Bóg nie wysłuchał mojej modlitwy, ale też nie odrzucił jej, ponieważ mam zdolność prosić Pana, abym nie był znów zgubionym, i uczuwam, jeżeli nie spokój w sercu, to ufność i odwagę życia w sobie, jakich przedtem nie znałem". Kończy list słowy: „Nie będę służył przyrzeczeniami Panu, gdyż znasz lepiej odemnie chwiejność ludzkiego serca, tedy jedyna moja poręka co do szczęścia Pańskiej córki tkwi tylko w modlitwie o błogosławieństwo Pana nad Pany".

Ale i tym zwrotem nie zyskałby nic u starego pietysty, gdyby nie był zjawił się osobiście w domu Puttkamerów, nie objął był poprostu gwałtem jego córki, nie zdobył jej poprostu gestem Jowiszowym — nie zmusił do błogosławieństwa rodziców, poczem od pobożnej a zalotnej panny usłyszy te słowa, zarazem figlarno miłosne i kornie religijne: „Dostałbyś kosza odemnie i odszedłbyś tak obładowany, gdyby bóg nie zmiłował się nad tobą i nie kazał mi wejrzeć na ciebie przynajmniej przez dziurkę od klucza w drzwiach swojej łaski".

Urywamy na tej historji, tak nieprawdopodobnej ze względu na epokę i jej bohatera, a jednak dokumentalnie prawdziwej nasz opis przeżyć religijnych Bismarcka, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, że nie wyczerpaliśmy całości tematu. Ewolucja poglądów religijnych i odnośnych wstrząśnień tej skomplikowanej i zagadkowej duszy nie jest tu pełną. Ale da się stwierdzić, że do późnej starości zachowuje on dwoiste rysy tego rozkołysania się pomiędzy akceptacją wiary religijnej, jako tradycyjnej potrzeby tak gromady ludzkiej, jak i duszy własnej, przesądem dziedzicznym, głęboko wstrząsającym jego nerwy i sumienie, a z drugiej strony — jasnością i trzeźwością olbrzymiego rozsądku, to cynicznie rozstrzygającego wielkie sprawy na rzecz własnego, ludzkiego: „chcę tak,

nie turbując się o jakąś wolę nieba“ i sceptycznym uśmiechem w stosunku do „innego świata“ i „chrześcijańskiej miłości bliźniego“, przypominającym uśmiech Woltera lub Montaigne'a. Z tem wszystkiem „Żelazny książe“ nigdy nie czuł się absolutnie pewnym i szczęśliwym — w wierze i w niewierze.

Leo Belmont

PODŁUG DZIEŁA LEO TAXIL, PARIS, 1903—1904

(CIĄG DALSZY)



1. Z braku „Przeglądu Katolickiego“ i „Naszego Przeglądu“ zasnęło, nieboże...



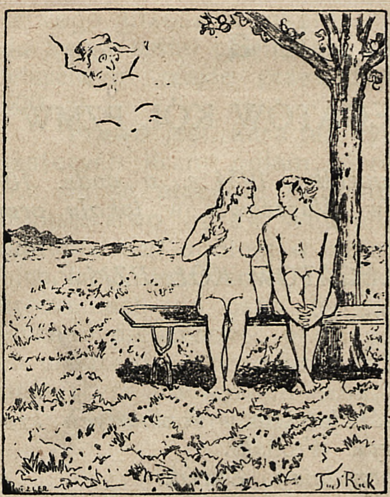
2. Poszło jak po maśle...



3. Surowy zakaz...



4. Chętne nastawianie uszu na pokusę...



5. Uwodzicielskie manewry niewiasty...



6. Pierwsze odruchy uświadomionych nudystów...



7. Wstyd gnębi winowajców...

(d. c. n.)

Nikt mnie nie odwiedzie od tego co myślę, mianowicie, iż bóg nie ukazał się nam jeszcze.

Romain Rolland

Kronika

ZJAZD KRAJOWY DELEGATÓW KÓŁ PZMW

W niedzielę, dn. 28 października 1934 r. o godz. 10½ przed południem odbędzie się w Warszawie, w lokalu przy ul. Królewskiej nr. 16

IV KRAJOWY ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ PZMW

z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie
2) Wybór prezydjum
3) Referat o ruchu wolnomyślicielskim w rozmaitych krajach — wygłosi ob. Henryk Wroński.
4) Odczytanie protokułu poprzedniego Zjazdu
5) Sprawozdanie Zarządu i Komisji Rewizyjnej
6) Wybór Zarządu i Komisji Rewizyjnej
7) Wnioski

Na Zjeździe oprócz delegatów mogą być obecni również członkowie Kół.

Zarząd Główny
Polskiego Związku Myśli Wolnej

OGÓLNE ZEBRANIE CZŁONKÓW KOŁA WARSZ. PZMW

W dniu 30 września r. b. odbyło się ogólne zebranie członków Koła warszawskiego PZMW pod przewodnictwem ob. adw. G. Dziatełowskiego.

Z braku miejsca sprawozdanie z zebrania zamieścimy w następnym numerze naszego pisma.

WAŻNE DLA OSÓB BEZWYZNANIOWYCH

W myśl art. 95 obowiązującego dotąd w b. Kongresówce kodeksu carskiego, każde dziecko powinno być w ciągu ośmiu dni po urodzeniu „okazane właściwemu duchownemu parafji“, jako urzędnikowi stanu cywilnego, celem spisania aktu urodzenia. Ponieważ w b. zaborze rosyjskim niema możności spisania aktu urodzenia bez poddania dziecka takim czy innym ceremonjałom religijnym do kaleczenia włącznie, wiele osób wolnomyślnych lub nienależących do żadnego wyznania nie sporządza w terminie ośmiodniowym metryk urodzenia swoim dzieciom, lecz czeka do lepszych czasów, które w Polsce pod tym względem ani rusz nie chcą nadejść i naraża się na kary, jakie kodeks karny za tego rodzaju uchybienia rejestracyjne przewiduje, woląc to, niż poddawać swoje dzieci ceremonjałowi chrztu lub obrzezania. Polskie prawo o wykroczeniach za niedopełnienie obowiązku zawiadomienia wła-

ściwego urzędu o okoliczności, która powinna być zapisana do ksiąg stanu cywilnego, albo obowiązek ten spełni nie we właściwym czasie przewiduje w art. 25 karę grzywny do 500 zł.

Prawo jest, kara też, tylko nie usunięto warunków, zmuszających liczny odłam obywateli wolnomyślnych do narażania się na płacenie półtysiącówek. Aby temu złu zaradzić, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało okólnik do władz administracji ogólnej w województwach centralnych i wschodnich, aby nie stosowały sankcji karnych z art. 25 prawa o wykroczeniach do osób bezwyznaniowych lub należących do wyznań nieuznanych przez państwo za niezarejestrowanie czy to urodzenia, czy zgonu, a natomiast stosowały je do osób należących do wyznań uznanych.

Okólnik ten brzmi, jak następuje:

Warszawa, dnia 20 stycznia 1934 r.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
Nr. Ac 27-go 44/2

O k ó l n i k Nr. 11

o rejestracji stanu cywilnego osób bezwyznaniowych
oraz należących do wyznań prawnie nieuznanych

Do P. P. Wojewodów województw Centralnych i Wschodnich,
oraz Komisarza Rządu na m. st. Warszawę

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych powzięło wiadomość, iż niektóre władze administracji ogólnej stosują sankcje karne z art. 25 prawa o wykroczeniach wobec osób bezwyznaniowych lub należących do wyznań prawnie nieuznanych, za zaniedbanie zarejestrowania tych, czy innych okoliczności w księgach stanu cywilnego.

Ministerstwo zwraca uwagę, że stosowanie omawianych sankcyj możliwe jest w tych tylko wyłącznie wypadkach, w których obowiązek rejestracji stanu cywilnego przewidziany jest wyraźnie w przepisach prawnych.

W przypadkach zatem, w których w płaszczyźnie obowiązującego ustawodawstwa zagadnienie rejestracji stanu cywilnego czy to osób bezwyznaniowych, czy też członków tej bądź innej społeczności wyznaniowej *nie zostało dotychczas wogóle unormowane*, podstawa do stosowania postanowień art. 25 prawa o wykroczeniach siłą rzeczy odpada.

Ministerstwo prosi P. Wojewodę o podanie wyjaśnienia tego do wiadomości i ścisłego przestrzegania władz podległych.

Dyrektor Departamentu
Weissbrod

Mamy do zanotowania jeszcze jeden postęp w tej dziedzinie. Jak wiadomo, śluby cywilne na obszarze R. P. istnieją jedynie w b. dzielnicy pruskiej, czyli w trzech województwach zachodnich: pomorskiem, poznańskiem i śląskiem. Gdy na-

rzeczeni, pochodzący z b. zaboru rosyjskiego, pragnęli zawrzeć w jednym z tych województw ślub cywilny, urzędnicy stanu cywilnego żądali od nich *jako od cudzoziemców*, poświadczenia zdolności do zawarcia małżeństwa, wydanego przez władze administracyjne ich dotychczasowego miejsca zamieszkania, gdyż w pojęciu niemieckiego kodeksu cywilnego, polacy pochodzący z b. Królewstwa Kongresowego, jako mieszkający za b. granicą niemiecko-rosyjską, byli „cudzoziemcami".

To jeden dziwoląg pochodzący stąd, że państwo polskie nie zdobyło się dotąd na własny kodeks cywilny. A teraz drugi.

Gdy ci narzeczeni należeli do wyznań chrześcijańskich lub z tych wyznań przeszli do bezwyznaniowości (oboje, czy jedno), władze administracyjne b. zaboru rosyjskiego dawały tego rodzaju zaświadczenia bez żadnych trudności. Rzecz się komplikowała dopiero wtedy, gdy jedno z narzeczonych było wyznania mojżeszowego, lub przeszło do bezwyznaniowości z tego wyznania. Wtedy wiele starostw odmawiało wydania poświadczenia zdolności (oczywiście, prawnej) do zawarcia małżeństwa, ponieważ obowiązujący dotąd w b. Królestwie Kongresowem kodeks cyw. rosyjski zabraniał żenienia się chrześcijanina z żydówką, lub żyda z chrześcijanką, jeżeli strona wyznania mojżeszowego nie przeszła przedtem na jedno z wyznań chrześcijańskich. Wynika z tego jasno, że prawodawcy zaborczemu chodziło tu o różnicę wyznania, a nie o różnicę rasy lub narodowości, aby przypadkiem Stary Testament nie poróżnił się przy ślubie z Nowym Testamentem i naodwrót. I tak np. starostwo Południowo warszawskie zaświadczenia tego rodzaju wydawało, a starostwo Północno-warszawskie wydawać ich już nie chciało nawet wówczas, gdy oboje narzeczeni nienależeli do żadnego wyznania. Była to już interpretacja przepisu kodeksowego b. swoista.

Naskutek interwencji Zarządu PZMW. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych tę sprawę tak załatwiło, że urzędnicy stanu cywilnego w b. zaborze pruskim nie będą już traktowali obywateli polskich z innych dzielnic, jako cudzoziemców i nie będą żądali od nich wspomnianych poświadczeń zdolności do zawarcia małżeństwa. Odpadnie tem samem potrzeba wydawania wspomnianych poświadczeń przez starostwa w b. dzielnicy rosyjskiej.

Gdyby ktoś z naszych członków lub czytelników spotkał się z żądaniem urzędników stanu cywilnego w b. zaborze pruskim, złożenia tego rodzaju poświadczenia, zechce nam dać znać.

Z BRAZYLJI

Skutkiem bezczynności masonerji brazylijskiej udało się klerowi katolickiemu przeforsować poprawkę do konstytucji w duchu klerykalnym. Między innemi zniesiono zasadę wolności sumienia i uznano katolicyzm za religję panującą.

Pisaliśmy w swoim czasie o tych zakusach, teraz te zakusy stały się prawem.

RODZENI KUZYNOWIE

Dotychczas w żydowskich kolonjach pomarańczy w Palestynie trzymali straż pisarze, poeci, artyści i literaci.

Dziś opowiada nam „Sjonistisze Wochnszrift" nr. 8, przybyli też politycy i działacze społeczni. I... „11 czerwca na pikietach w Kfar Sabo" stali członkowie prezydjum sjonistycznego „C. K. w Polsce: dr. Józef Dawidsohn, Elihn Lewin, Mgr. Serlin" — aby dopilnować, — czy głodujący arab nie dotknął się broń boże swemi spragnionemi pracy rękami świętego tworu czysto żydowskiej pracy.

Jak to dawno studenci spod znaku zielonej wstążki trzymali tę samą „straż" przed żydowskiemi sklepami w Wilnie i w W-wie, aby, uchowaj boże! nie zabłądził tam polak rasowy i nie dał zarobić niepolskiemu kupcowi.

Po hebrajsku hasło to nazywa się: „Kibusz hoawoda!" a wśród studentów „narowców" zwało się to: „swój do swego!" Dwa hasła — dwaj rodzeni kuzynowie.

Naszem zdaniem na *zieloną wstążkę* dr. Józef Dawidsohn zasłużył sobie rzetelnie.

WIĘŹNIOWIE BRZESCY

W związku z poszukiwaniem porozumienia B. B. z partjami robotniczemi, wobec zbliżających się wyborów do sejmu posłowie: Barlicki, Ciołkosz, Dubois, Mastek i Putek zostali ułaskawieni. Prasa rządowa uważa to za likwidację sprawy brzeskiej.

OSTROŻNIE Z OSTRĄ BRAMĄ

Przybyły do Wilna z wycieczką góralską góral Józef Podliński dostał w Ostrej Bramie pomieszania zmysłów na tle religijnym. Zajęli się nim psychjatrzy.

Z ANGLJI

„Freethinker" podaje, że w Anglji występuje z kościoła rocznie ok. 10.000 osób. Ruch ten zaczął się zaraz po wojnie i trwa dotąd. W St. Dawide w Walji katolicy wybudowali kaplicę na placu ofiarowanym im przez niejakiego Morgana Griffiths'a, ożenionego z katoliczką. Podczas mszy, odprawionej w tej kaplicy, zerwała się straszna burza z piorunami. Niekatolicy uznali to za gniew boży, a katolicy za przypomnienie prześladowań katolicyzmu przez Anglję. Ani jedni ani drudzy nie mają słuszności, bo burze nie zajmują się kwestjami religijnemi.

Z prasy

Religja jako dama

Krakowski klerykalny *Dzwon niedzielny* (Nr. 37) w art. „Po upadku socjalizmu w Wiedniu“ narzeka na to, że „Wolnomyśliciel polski“ jeszcze wychodzi i to nie „w Moskwie, — a dalibóg — w Warszawie, w stolicy „Polski zawsze wiernej“ i po dokonanym cudzie zmartwychwstania nad Wisłą“. A więc Polska „zmartwychwstała“ nie w listopadzie 1918 r. a w sierpniu 1920, zaraz po dokonanym przez ks. Skorupkę „cudzie“. Doskonale. Chcąc następnie przedstawić w sposób zrozumiały i plastyczny, jaka jest różnica pomiędzy osobistą obrazą, a obrazą wyznawanej religji, „Dzwon niedzielny“ pisze:

> **Jeżeli pijany ulicznik potrąci na ulicy człowieka dobrze wychowanego, potrącony przejdzie mimo i uda, że nie zauważył. lecz jeżeli potrąci jego damę, jeżeli będzie wymyślał na nią i pluł, co wtedy?..**

Wtedy człowiek „dobrze wychowany“ nie zrobi tego, o czem autor myśli, lecz odda pijanego w ręce policji. Zresztą pijani ulicznicy nie wymyślają przechodzącym damom i nie plują na nie. Ten przykład został źle wybrany. Wogóle nie można powiedzieć, aby to przyrównanie religji do damy, z którą chodzi się po ulicy pod rękę, było szczęśliwe. Ale to nie nasze zmartwienie. Każdy miewa takie skojarzenia myślowe, na jakie go stać.

Na zakończenie — jak zwykle w takich razach — autor artykułu zapytuje:

> **Gdzież są wszystkie zastępy „Rycerzy Marji“, Sodalisów, stowarzyszeń ślubujących obronę wiary?..**

i dlaczego nie biją? — możemy dopowiedzieć za autora — gdyż na żadne inne argumenty Rycerzy Marji nie stać.

Z pism i książek

„Sprawiedliwość“

Od maja rb. wychodzi w Wiedniu po niemiecku i w szeregu innych jezyków, między innemi i po polsku, czasopismo p.t.: „Sprawiedliwość“, pod redakcją Ireny Harand. Polskiego miesięcznika wyszło cztery numery. Pismo poświęcone jest „zwalczaniu antysemityzmu, gdyż hańbi on chrześcijaństwo“. Pani Harand jest tak zwaną rdzenna chrześcijanką i zwalcza antysemityzm, wychodząc z zasad chrześcijańskich.

Walczy z hitleryzmem a pośrednio świadomie przeciwstawia mu dyskretnie inną dyktaturę: „chrześcijańskiego“ rządu austrjackiego. W Polsce, zdaje się, „Sprawiedliwość“ przeważnie czytają żydzi lub też ludzie, którzy oddalili się od chrześcijaństwa i przeto antysemitami już nie są. Dlatego też ruch

pani Harand, która w Wiedniu urządza odczyty i zgromadzenia, u nas, a i gdzieindziej niema i nie może mieć znaczenia praktycznego dopóty, dopóki nie przystąpi do niego kler. Kler zaś do ruchu nie przystąpi, gdyż panowanie jego oparte jest nie na zwalczaniu nienawiści, a na jej pogłębianiu. Antysemityzm może być zwalczany skutecznie tylko wśród ludzi, którzy całkowicie psychicznie oddzielili się od wpływu kościołów i filozofji teologicznej, a więc wśród i przez wolnych myślicieli. Z tego powodu nawet w „Sprawiedliwości" znajdujemy przedruk z „Wolnomyśliciela Polskiego", jak się okazuje z cytaty czytelników „Sprawiedliwości". Nie mniej jednak pismo zawiera dużo materjału słusznego—tylko z pisanemi zasadami chrześcijaństwa ma to bardzo mało wspólnego.

J. Lit.

„Kobieta w Rosji Sowieckiej a w Trzeciej Rzeszy"

Odczyt pod tym tytułem, wygłoszony przez ob. Wł. Weychert Szymanowską w P. Z. M. W., został ostatnio wydany drukiem w Bibljoteczce Historyczno-Geograficznej „Roju" (str. 58, cena 20 gr.).

Autorka bardzo ciekawie przytoczyła fakty i dowody, że socjalizm pomaga kobiecie w podźwignięciu jej ciężarów domowych, przygotowując ją do wielkiej gospodarki zbiorowej i do życia społecznego, a faszyzm dla zmniejszenia bezrobocia pozbywa się konkurencji kobiecej na rynkach pracy i nawraca do dawnych tradycyj. „Rosja Sowiecka urzeczywistniła pomysły socjalistyczne. Niemcy przekreślają wszystkie zdobycze ruchu kobiecego".

Ta bardzo tania książeczka nadaje się do masowego kolportażu wśród kobiet w walce z faszyzmem i hitleryzmem.

J. Lit.

Odpowiedzi redakcji

Bezbożnikowi-pacyfiście. Pisaliśmy o tem w Nr. 27 W. P. na str. 735.

Gdy ks. Choromański bajdurzy w „Kurjerze warszawskim" o niewzruszonym przykazaniu bożem: „nie zabijaj", a p. B. K. sekunduje mu w tem, gdy kard. Gaspari nie potępia wojny w swoim „Katechiźmie" (wyd. św. Wojciecha, Poznań, cena zł. 9 60) — „Przegląd katolicki" nie obrusza się na to, że miljony młodzieży zaprawia się do wzajemnego mordu i rzezi, lecz tylko na to, że młodzież płci obojga przebywa razem w jednym obozie. Brudna wyobraźnia tych panów, opętana hiperseksualizmem, nie może sobie przedstawić młodzieży inaczej, niż „cudzołożącej" od rana do nocy i od nocy do rana. Przyczem nie liczą się oni z tem, że młodzież sowiecka trochę inaczej odnosi się do spraw płci, niż młodzież wychowana przez katechetów katolickich.

Nauczyciel szkoły powszechnej, lat 30, bezwyznaniowy, posiadający 12 morgów ziemi, pragnie zawrzeć ślub cywilny z osobą w odpowiednim wieku, wolnomyślną, o ile możności nienależącą do żadnego wyznania, oferty prosimy nadsyłać pod adr. Administracji „Wolnomyśliciela Polskiego“ w kopertach zamkniętych z napisem „Dla nauczyciela“.

ODCZYTY W POLSKIM ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ
Warszawa, Królewska 16

W dniu 13 października 1934 r. w sobotę o g. 8 wiecz. odbędzie się obchód ku czci FRANCISZKA FERRERA w 25-tą rocznicę stracenia. Udział wezmą ob. ob. *Iza Zielińska, Henryk Wroński, Władysław Poniecki, Leo Belmont.*

W dniu 20 października 1934 r. w sobotę o godz. 8 wiecz. ob. adw. dr. *Aleksander Kielski* wygłosi odczyt p. t. „DEMOKRACJA POLITYCZNA — A SPOŁECZNA“.

Zawiadamiamy naszych prenumeratorów, że wpłacając należność za prenumeratę na nasze konto P. K. O. Nr. 14200, należy posługiwać się blankietami koloru pomarańczowego, które wolne są od wszelkich opłat na rzecz P. K. O.

Blankiety te można nabyć w każdym urzędzie pocztowym.

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:
(łącznie z „Błyskami wolnomyślicielskiemi“)

rocznie	zł. 20.00	miesięcznie zł. 1.75	
półrocznie	„ 10.00	numer pojedynczy 60 gr.	
kwartalnie	„ 5.00	zagranicą 25 zł. rocznie	

PRENUMERATA „BŁYSKÓW“ (bez „Wolnomyśliciela Polskiego“)

Za 1 egz. rocznie	zł. 1.20	Za 10 egz. rocznie	zł. 9.00
„ 5 „ „	„ 5.00	„ 10 „ półrocznie	„ 4.50
„ 5 „ półrocznie	2.50	„ 10 „ kwartalnie	„ 2.25

10 egzemplarzy zagranicą zł. 14.— rocznie

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, telef. 218-14.
Konto czek. P. K. O. 14.200.

Redaktor **Józef Wroński**, Wyd.: **„Wolność“ sp. z o. o.**

Druk L. Wolnicki, Długa 46.